

Walenty Kotula\*

## Atmosfera domu rodzinnego i rola w niej matki – wspomnienia sprzed ponad pół wieku mieszkańca Głogowa Małopolskiego

...więc jeśli mówimy o domu polskim, to zawsze  
przed oczami mam Jej obraz

W roku 2020 mieliśmy uroczyste obchodzić 450-lecie założenia przez Krzysztofa Głowę miasta, które początkowo przyjęło od założyciela nazwę – Głowów, a obecnie to Głogów Małopolski, położony w województwie podkarpackim na przedmieściach rozrastającego się Rzeszowa. Zamiary pokrzyżowała pandemia i uroczystości zostały przełożone na inny czas.

Układ urbanistyczny miasta założonego przez Krzysztofa Głowę zachował się do naszych czasów. Miasto powstało na tzw. surowym korzeniu. Na środku rozległego rynku (pie-rzeja liczy ok. 230 m) posadowiony jest ratusz, w północno-wschodnim rogu rynku znajduje się kościół. Od rynku gwiazdziście rozchodzą się ulice, cztery główne mają kierunki stron świata (północ-południe, wschód-zachód). W przeszłości miasteczko niszczyły pożary. Ostatnia pożoga zdarzyła się na początku XX w. Wtedy Głogów odbudo-

---

\* Walenty Kotula – Stowarzyszenie „Lasowiacy” z Głogowa Małopolskiego.

wał się już jako murowany i ten układ miasteczka, jego najstarszej części, zachował się do dzisiaj. Większość domów zmodernizowano, ale jeszcze kilkadziesiąt lat temu budynki, ich obęścia i wnętrza wyglądały inaczej niż dzisiaj.

Zachowało się kilka domostw, które na pierwszy rzut oka przypominają te z przeszłości. Jak wyglądała fasada takiej kamieniczki? Wybudowane z cegły, w większości nie były otynkowane. Wokół przeważnie dwóch okien, nad nimi i wokół wejścia pojawiały się elementy sztukatorskie. Świadczyły one o wysokich umiejętnościach miejscowych murarzy, budynkowi dodawały uroku. Uwagę zwracało wejście – potężne wrota, które pełniły kilka funkcji. To przede wszystkim było wejście do domu, a także brama wjazdowa do obęścia z płodami rolnymi. Wrota miały dwa skrzydła, w miarę potrzeby otwierane na oścież lub tylko uchylane (architekturą nawiązywały do bram wjazdowych warowni). Ciekawym było zamknięcie tych „carskich wrót”. Miały specyficzny skobel – zapadkę, pięknie i rzetelnie wykonane elementy sztuki kowalskiej.

Charakterystyczną cechą architektury miasteczka jest jego zwarta zabudowa. Najczęściej domostwa miały jedną wspólną ścianę. Strychy były od siebie oddzielone w miarę ognioodpornymi „fajermurami” (ściana, która miała zapobiegać rozprzestrzenianiu się ognia). Przez wspomniane wrota wchodziło się do korytarza, czyli sieni. Znajdowały się w niej sprzęty potrzebne w gospodarstwie (balie, beczki, skrzynie na zmienną odzież, szafarka itp.). Po drabinie (nie schodami) wchodziło się na strych. Posadzka sieni była wykonana z gliny, tzw. polepy. W porze omłotów polepa pełniła funkcję klepiska. W niej, w pobliżu komina, była umieszczona gróbka. To rodzaj małej piwniczki, w której były przechowywane produkty „na teraz”. W tym czasie w Głogowie, w samym miasteczku, rzadko były w obęściu stodółki, ich funkcję spełniała właśnie sień, a strych był rodzajem spichlerza. Na nim gromadzono wymłócone snopy, siano dla bydła

i koni, w dużych skrzyniach i bekach dębowych przechowywano wymłócone ziarno. Strych był też rodzajem lamusa. To także królestwo myszy. Dlatego w każdym domu poczesne miejsce zajmowała łowna kocica ze swoim przychówkiem. Na strychu również lubiliśmy przebywać, organizując różne zabawy i zajęcia.

Z sieni najczęściej prowadziło dwoje drzwi do pomieszczeń. Pierwsze od ulicy były używane rzadziej, bo wiodły do pokoju pełniącego funkcję reprezentacyjną. Drugie drzwi to wejście do kuchni. Z tego pomieszczenia dwoje drzwi prowadziło do pokoju i komory.



Il. 1. Wnętrze pokoju dziennego, stoi matka autora, Krystyna z Matejskich Kotula, fot. ze zbiorów autora



Il. 2. Tradycyjny piec kuchenny z okapem, fot. ze zbiorów autora

Kuchnia – ulubione miejsce domowników i prawdziwe królestwo gospodyń – matek. Pomieszczenie najczęściej znajdowało się od podwórka, a pokój – od frontu domu. W tamtych czasach wiele rodzin było wielodzietnych i te pomieszczenia wystarczały dla wszystkich. Nikomu nie brakowało miejsca. Rodzina większość dnia spędzała w kuchni. Nikt nikomu nie przeszkadzał i nie wchodził „w paradę”. Często staje mi przed oczami widok naszej kuchni. Królował w niej znacznych rozmiarów piec – jak na owe czasy był nowoczesny, bo wykonany z kafli. W wielu domach były piece, postawione z cegły szamoty, dokładnie oblepione gliną i pobielone. Zdarzało się, że glazura gliniana łuszczyła się i od-

padała. Uzupelniano ją, mieszając z solą. Taka mieszanina podnosiła jej trwałość. W naszym domu nie było już typowego zapiecka, ale w wielu domach dziadkowie wygrzewali stare kości właśnie na nich. Na polepie pieca przechowywano suszone owoce, grzyby, różnego rodzaju zioła i przyprawy. Tam miał swoje miejsce strażnik domowych zapasów przed myszami – kot.

Piec chlebowy budził we mnie wielkie zainteresowanie i podziw, bo zawierał pewne tajemnice, niezrozumiałe dla kilkuletniego brzdąca. Mamusia rzadko wypiekała chleb, chociaż w domu skrzętnie przechowywano potrzebne do tego sprzęty. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych istniały obawy wybuchu następnej wojny, bo istniejący stan starsi uważali za tymczasowy i urządzenia do wypieku chleba były potrzebne. Dzieży i niecek mamusia już nie używała. Za to dla dzieci były doskonałą łódką podczas roztopów. Przynajmniej kilka razy do roku piec spełniał swoją rolę. W nim wypiekano ciasta na rodzinne uroczystości. Wtedy nasz dom gościł starsze siostry Mamusi, bratową, a kuchnia zamieniała się w cukiernię. Najpierw przygotowywano ciasta, a w tym czasie nagrzewano piec. Nie lada specjalista musiał go doglądać i stwierdzić, że jest gotowy, by w swoje wnętrze przyjąć piekace – blaszki z bułami, makowcami, sernikami i innymi fruktami, jak to określał rezydujący u nas „przyszywany” dziadek lwowianin. Na co dzień piec chlebowy skrywał polana drewna przeznaczone na opał i suszone grzyby w płóciennych woreczkach.

Podłoga w kuchni była wykonana z desek. Często używana, to i brudziła się znacznie. Swoje święto miała w sobotę: szorowana starannie, blaskiem lśniła na cały dom. Była to dość ciężka praca, wiem, bo tę czynność nieraz wykonywałem ze starszymi braćmi. Z czasem podłoga została pomalowana lakierem i położono na niej linoleum. Przy oknie stał stół nakryty ceratą, a przy nim tyle stołków i drewnianych krzeseł, ilu było domowników. W tej izbie musiało też

znajdować się łóżko lub otomana (rodzaj kanapy), na której „łapano” chwilę odpoczynku. Sprzętem bardzo potrzebnym i użytecznym był kredens; zajmował on znaczną część kuchni. W nim znajdowały miejsce wszystkie naczynia, talerze, garnuszki oraz sztuce potrzebne na co dzień.

Przez drzwi kuchenne wchodziło się do pokoju. Na pierwszy rzut oka uwagę przykuwały łóżka małżeńskie (najczęściej dwa). W dzień starannie zaścielone, przykryte były ozdobną kapą. Na ścianie nad nimi wisiał sporych rozmiarów kilim – dywan, a na nim obrazy święte (Matki Bożej i Serca Jezusowego lub Ostatniej Wieczerzy). Łóżka w swoim wnętrzu kryły pościel wszystkich domowników. Na środku pokoju stał stół, a wokół niego reprezentacyjne krzesła używane w święta i rodzinne uroczystości. Między oknami stała toaletka – tremo z szufladkami na różnego rodzaju kosmetyki, szczotki i grzebienie. W wielu domach w tym pomieszczeniu znajdował się również reprezentacyjny kredens na porcelanę, sztuce używane „od święta”. W pokoju tym stała w jednym z rogów szafa „trójdzielka” na świąteczne ubrania. Jedną jej część, z półkami, zajmowała wyprasowana na sztywno (uprzednio porządnie nakrochmalona) pościel. Pościel przechowywano także w komodach przeznaczonych na ten cel. Na podłodze w pokoju dość często leżał dywan lub „chodnik”.

Z tego opisu może się wydawać, że to pomieszczenie było nieco „zagracane”, ale tak nie było. Zostawało w nim jeszcze miejsce na odrabianie lekcji i zabawy. Organizowaliśmy je pod stołem, pod łózkami, nawet pod krzesłami. Trzeba wiedzieć, że w głogowskich domach nie było jeszcze centralnego ogrzewania i przy ścianie kominowej stał piec kaflowy, ulubione miejsce domowników w długie wieczory jesienne i zimowe. Przy nim czytaliśmy zadane lektury, słuchaliśmy czytania Mamusi lub opowieści dziadka o „tamtej” jeszcze wojnie (I wojna światowa i wojna polsko-bolszewicka). Tatuś lub stryjowie niezbyt chętnie opo-

wiadali o czasach okupacji. W latach PRL-u nie o wszystkim można było mówić przy dzieciach. Pamiętam, że gościł u nas znajomy Tatusia. Opowiadał przedziwne historie o walce z Niemcami, o przechodzeniu kanałami, o barykadach. Trochę później uświadomiłem sobie, że gościliśmy autentycznego powstańca warszawskiego. Nigdy później z Ojcem na ten temat nie rozmawiałem. Przypuszczam, że ów znajomy Taty ukrywał się u nas. Po jakimś czasie wyjechał, lecz jego opowieści głęboko zapadły mi w pamięci.

Z kuchni prowadziło też wejście do komory – spiżarki. Było to pomieszczenie dość ciemne i tajemnicze, bo miało zapewnić odpowiednią temperaturę i trwałość produktom tam przechowywanym. Przede wszystkim znajdowały się w niej zapasy na długie miesiące zimowe. W ciemnym rogu stała beka kiszonej kapusty, w innych, mniejszych beczkach kiszone ogórki. Na półkach w hermetycznie zamkniętych butelkach i słoikach zgromadzone były przetworzone owoce i warzywa. Tam przechowywano również uwędzone wędliny, słoninę i boczki. W tym pomieszczeniu zawsze panował przyjemny chłód, bo spełniało również funkcję podręcznej chłodziarki.

Zajrzyjmy na chwilę na pole – tak po głogowsku do dziś określa się podwórze. Na nie wychodziło się przez ganek lub bezpośrednio z sieni do części gospodarczej domostwa. Typowe budynki gospodarcze (stajnia, chlewik, kurnik, klaty z królikami, drwalnik, składzik na węgiel) znajdowały się w bezpośrednim sąsiedztwie budynku mieszkalnego. Tam też była studnia, która spełniała ważną funkcję w każdym domu. No i gdzieś trochę ukryty lub „przylepiony” do innego budynku stał „wychodek”. Jeśli było miejsce, to w tej części domostwa były mały ogródek warzywny i sad. Część domostw była podpiwniczona i w nich przechowywano zapasy. Były też domy wolno stojące, sytuowane w pobliżu budynków gospodarczych.



Il. 3. Podwórze w typowym głogowskim domu, widoczna brama przejazdowa z sienią, zdjęcie z lat 50. XX w., fot. ze zbiorów autora

Jak to pięknie ktoś wyraził: „Cały dom na mojej głowie!” Jakże wymowne jest to stwierdzenie. Dobitnie określa ono rolę kobiety – matki w domu. Ojciec spełniał inne funkcje. W takich miasteczkach jak Głogów (jak i Tyczyn, Sokołów, Raniżów, Dynów, Błazowa, Kolbuszowa oraz inne) bardzo ważną rolę pełniło rzemiosło i rolnictwo. Nimi zajmowali się mężczyźni – ojcowie, dziadkowie, synowie. W drugiej połowie wieku XX było w miasteczku jeszcze sporo rzemieślników, którzy kontynuowali tradycje rodzinne. Głogów słynął na szeroką okolicę z szewców, masarzy i murarzy. Ze swoimi



wyrobami jeździli oni na targi do Rzeszowa, także do Krakowa i Lwowa. Po II wojnie światowej również do Warszawy, na Wybrzeże i Śląsk. Do tych miast w czasie sezonu wyruszali również murarze. Ponieważ każda rodzina w tamtym czasie utrzymywała się nie tylko z rzemiosła, ale posiadała grunty uprawne (w zależności od zasobności właścicieli – od kilku do kilkunastu morgów), właściciele musieli godzić obowiązki zawodowe z pracami polowymi. Domem zajmowały się przede wszystkim kobiety. Do pomocy miały najczęściej babcię i starsze córki.

Dobrze pamiętam rytm dnia codziennego domu mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Ponieważ Tato nie przejawiał zainteresowania rodzinnym rzemiosłem (ciesielstwo i stolarstwo), rankiem wyjeżdżał do pracy do pobliskiego Rzeszowa i praktycznie cały dzień pozostawialiśmy pod opieką Mamy. Odkąd pamiętam, budził mnie śpiew pieśni „Kiedy ranne wstają zorze”, Godzinek i głośno odmawiany przez Mamusię pacierz. Może to na cześć mojej Rodzicielki, a może to już takie wychowanie, że staram się również tak zaczynać dzień, chociaż weszło to w nawyk dopiero na emeryturze, bo wcześniej nie było na to czasu (pęd i gonitwa współczesnego świata trwa już jakiś czas). Ta krzątająca koło domu to istny kierat. Praktycznie Mama nie miała czasu dla siebie, bo inne sprawy były ważniejsze. Nie chodzi tylko o moją mamę. Tak było w większości domów tamtego Głogowa. Zakres prac i obowiązków dyktowały pory roku. Więcej czasu dla siebie miała Mamusia zimą, chociaż nie leniuchowała, bo ciągle coś było do roboty (szycie pościeli, cerowanie zniszczonych ubrań, robótka na drutach, szydełkowanie). Krzątająca trwała cały dzień.

Na zawsze utkwiły mi w pamięci niektóre prace polowe. Mimo że większość czynności wykonywaliśmy ręcznie, to z sentymentem wspominam sianokosy, żniwa i kopanie ziemniaków. Do tych prac trzeba było się odpowiednio przygotować i je zaplanować. Przygotowania do kopania



Il. 4. Do prac polowych zaangażowana była cała rodzina, wykopki, lata 70. XX w., fot. ze zbiorów autora

ziemniaków trwały kilka dni. Najpierw obserwowano się pogodę, czy będzie stabilna i w miarę słoneczna i ciepła. Wykopki na naszym terenie zaczynały się mniej więcej w połowie września, tak by ziemniaczyska przed przymrozkami i szarugą obsiać zbożem ozimym. Jako pierwsze na pola ziemniaków wychodziły dzieci. Ich zadaniem i pracą było oczyszczenie stajń (tak regionalnie określano w Głogowie i okolicy areał upraw) z badyli, czyli łątów ziemniaczanych i chwastów. Później w ten sposób przygotowane stosiki podpalano i pieczono w nich ziemniaki. Do starszych chłopców należało dopilnowanie, czy wypiek jest już gotowy. Nie mogły być za twarde ani za bardzo spalone, musiały być akuratne i jeszcze ciepłymi częstowano „kopaczy”. Smak tego „dania” czuję do dziś. Na tak przygotowane pola wchodziły kopaczki. Najczęściej były to najmowane do tej pracy kobiety lub najmowało się krewne i znajome na tzw. odrobek.

Prace wykonywano ręcznie, motykami „serduszkami” lub grackami. Żeby przyspieszyć pracę, „urobek” na przygotowaną stertę odnosili mężczyźni lub starsi chłopcy. Maluchy nosiły pełne kosze we dwójkę. Od razu na polu następowała wstępna segregacja plonu na sadzeniaki, do spożycia i dla chudoby. Nadgnięte i uszkodzone zostawiano na polu. Była to naprawdę ciężka praca, ale nikt przy niej nie narzekał. Czas i praca szybko mijały, bo dowcipkowano, komentowano wydarzenia, no i obgadywano znajome, czyli po głogowsku „bojcono” na różne tematy. Taka praca niezadko trwała cały jesienny dzień. Do gospodarza należało zwieźć całodzienny plon do domu. Nie od razu zsypywano go do piwnicy. Pozostawiano je przynajmniej na noc, by obeschły, i dopiero potem specjalnie przygotowanymi rusztami „zjeżdżały” do piwnicy. Te prace trwały zazwyczaj kilka dni.

Niezmierną radość sprawiały obfite plony, bo wróżyły dostatek i dobrobyt. Bardzo popularne było kopcowanie ziemniaków, ale w moim rodzinnym domu tego nie czyniono. Natomiast w czasach trochę późniejszych podziwiałem sąsiada, który posiadał ten kunszt i czynność tę powtarzał wiele lat corocznie. Przechowywane w ten sposób kartofle miały zupełnie inny smak i do późnej wiosny były świeże i zdrowe. Ponieważ kopce były zawsze w tym samym miejscu, to teren pod nie był wcześniej przygotowany i wyplantowany. Spód podsypyany był suchym piaskiem, wyłożony słomą i gałązkami świerkowymi, by polne gryzoni nie dostały się do niego. Wsuszone i przebrane ziemniaki wsypywano na tak przygotowane miejsce i formowano z nich kształtną przyzmę. Następnie przykrywano je szczelnie prostą słomą i obsypywano ziemią. W zależności od warunków pogodowych kilkoma warstwami. Trzeba było pamiętać o kominach wentylacyjnych, które były wykonane z deszczulek lub rur PCV. Wokół tak przygotowanego kopca wykopywano rowek, by odprowadzał nadmiar wody. Za-

glądano do niego od czasu do czasu w zimie, czy płody dobrze się przechowują, i dopiero na wiosnę podbierano z nich ziemniaki.

Obowiązki dnia codziennego to było jedno. Istotną sprawą było nasze wychowanie, wykształcenie i przekazanie głębszych wartości.

I tu trzeba sięgnąć do tradycji miasteczka. Głogów zawsze starał się dorównać do Rzeszowa, a także do Lwowa i Krakowa. Od dawien dawna głogowscy rzemieślnicy wyjeżdżali w sezonie do pracy w tych miastach (murarze, cieśle, szewcy). Miejscowi rzemieślnicy ze swoimi wyrobami wyjeżdżali bliżej i dalej na jarmarki i targi. We wspomnieniach zachowały się informacje, że docierali do Ulanowa i tam zatrudniali się jako oryle – flisacy, spławiając drewno i płody aż do Gdańska. Stamtąd przywozili liczne nowinki, potrzebę edukacji, kształcenia, obycia kulturalnego. Nasze babcie, mamy skrzętnie to wykorzystywały. Edukacja, ogłada kulturalna odgrywały bardzo ważną rolę. Już w XIX i na początku XX w. przedstawiciele tutejszych rodzin dbali o wykształcenie, a to było zachętą dla następców. Ponieważ wiele rodzin to były rodziny wielodzietne, obowiązkiem najstarszego dziecka po ukończeniu edukacji i zdobyciu wykształcenia była pomoc w tym zakresie młodszemu rodzeństwu. To dom pielęgnował prawdziwe wartości, a ich przekaznikiem najczęściej były matki. To dzięki nim wielu kolegów i wiele koleżanek z mojego pokolenia osiągnęło wiele w swoim życiu i wiele znaczą w swoich środowiskach.

Tradycją Głogowa była aktywna działalność kulturalna. Od pokoleń działa orkiestra dęta, chór, amatorski teatrzyk. Teraz uświadamiam sobie, jak trzeba było umiejętnie działać, by te wartości nam, młodemu pokoleniu, przekazać. Ważną rolę odegrała tradycja. Ogromny udział miały Kościół, szkoła, instruktorzy domu kultury, bibliotekarze. Do współdziałania potrzeba było społeczników. I znów na tym polu ważną rolę odegrały kobiety – matki. Jakże mile wspomi-

nam jesienno-zimowe wieczory i czytanie lektur przy dobrze nagrzanym piecu. Kiedy już ja i moi bracia czytaliśmy zdarzało się, że mamie ze zmęczenia opadała głowa na piersi. Wtedy śmialiśmy się z tego. A przecież zawsze miała czas dla nas. Trzeba podkreślić również spędzanie wolnego czasu z ojcem. Dla Taty zarezerwowana była niedziela i święta. Był naszym najlepszym przyjacielem, bardzo wyrozumiałym i często przyskakującym oczy na nasze młodzieńcze „wybryki”. Dla niego najważniejsza była rodzina i więź z krewnymi. Tradycją stało się w naszym domu odwiedzanie stryjów na tzw. Piasku i słuchanie opowieści o „tamtych” czasach. Tato uczył nas poznawać las i jak współżyć z przyrodą. Przekazał mi legendy i opowieści o przeszłości naszego miasteczka, które rozbudzały młodą wyobraźnię.

W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku dużą rolę w naszej kulturalnej edukacji odegrał nauczyciel głogowskiej szkoły, pan Stanisław Bielecki. Prowadził orkiestrę i chór, uczył gry na różnych instrumentach wspólnie ze swoim teściem (długoletnim organistą głogowskim), panem Kazimierzem Sztabą. Oczywiście, na te zajęcia zapisała nas mama. Moje osiągnięcia okazały się mierne, ale starszy brat rozwinął się w tej dziedzinie i stał się multiinstrumentalistą. Pamiętam, że mama z grupą koleżanek i kolegów czynnie brała udział w pracach amatorskiego teatryku. Zespół ten był w stanie wystawić kilka jednoaktówek rocznie. W repertuarze był i Fredro, i Zapolska, i baśnie Andersena. Zajęcia prowadził niezapomniany organista z Bud Głogowskich, pan Edward Kotula. Scenografię projektował pan Mieczysław Cisek, a jego zamiary urzeczywistniali miejscowi stolarze. Mile wspominam zajęcia w chórze kościelnym. Członkami jego byli uczniowie, również członkowie chóru szkolnego. Umiejętne działanie opiekunów i społeczników nie budziły zastrzeżeń ówczesnych władz. Kiedy na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku wyrzucono ze szkół religię, bardzo szybko zawiązał się komitet organizujący kate-

chezę przy kościele. Potrzebne sprzęty niby zużyte i zniszczone za cichą zgodą kierownika szkoły, pana Manelskiego, trafiły do salki katechetycznej. Tenże komitet zorganizował comiesięczną zbiórkę funduszy na wynagrodzenie dla księdza katechety. Do dziś gdzieś w archiwach domowych są zapiski i cała buchalteria tego przedsięwzięcia.

Niezmierny mój podziw budzi ogromna siła matki. Skąd czerpała na to wszystko energię? Z jej twarzy nie znikał uśmiech, miała czas na żarty i dowcip. Nie opuszczał jej dobry humor, a często i cięte riposty. Chciałbym, aby dzisiejsze matki były takie same i tak wprowadzały w życie swoje pociechy, jak to było w czasach mojego dzieciństwa i młodości. Dlatego dla mnie dom – wspomnienia o ludziach, rzeczach i sprawach – wypełniony jest przede wszystkim Mamą, więc jeśli mówimy o domu polskim, to zawsze przed oczami mam Jej obraz.